

Historyczne bzdury o Średniowieczu

JAK NAPRAWDĘ ŻYŁO SIĘ
W CZASACH DAM I RYCERZY?



A N N A Z I E L I Ń S K A

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione.

Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Autor oraz wydawca dołożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich.

Autor oraz wydawca nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce.

Redaktor prowadzący: Justyna Wydra

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 230 98 63

WWW: *wydawnictwospoty.pl*

ISBN: 978-83-283-7799-8

Copyright © Helion S.A. 2026

Printed in Poland.

- [Kup książkę](#)
- [Poleć książkę](#)
- [Oceń książkę](#)

- [Księgarnia internetowa](#)
- [Lubię to! » Nasza społeczność](#)

Spis treści

Wstęp	5
Skoro nie Wielka Lechia, to co?	9
O chorobach	39
Higiena – ostatnie starcie	75
Grunwald	119
Niebyty	161
Zakończenie	211
Bibliografia	213

WSTĘP

Gdy Wisława Szymborska odbierała w Sztokholmie nagrodę Nobla, swoje przemówienie zaczęła od słów: „Podobno w przemówieniu pierwsze zdanie jest najtrudniejsze”. Parafrazując naszą wielką poetkę, mogę napisać, że podobno w książce pierwsze zdanie jest najtrudniejsze. Bo o czym tu pisać we wstępie? Przecież wszyscy wiemy, że nie dla wstępów kupuje się i czyta książki, ale dla ich treści zasadniczej. A jednak zanim do niej przejdziemy, pozwolę sobie na kilka zdań dotyczących tego, o czym ta książka jest. Albo jeszcze lepiej – o czym NIE jest. Na pewno nie jest to książka o Wielkiej Lechii. I to nie dlatego, że nagle się nawróciłam i uwierzyłam w jej istnienie, ale dlatego, że mamy obecne na rynku dwie świetne prace na ten temat. Mam tu na myśli dwie książki – Romana Żuchowicza *Wielka Lechia. Źródła i przyczyny popularności teorii pseudonaukowej okiem historyka* z 2018 roku oraz *Fantazmat Wielkiej Lechii. Jak pseudonauka zawładnęła umysłami Polaków* Artura Wójcika z 2019 roku. Czuję, że nic nowego do tematu nie wniosę – panowie zajęli się nim kompleksowo i absolutnie profesjonalnie. W dodatku temat Lechii po pandemii jakby przycichł i turbosłowianie mają coraz większy problem z publikowaniem swoich bredni. Tak więc zamiast wyważać otwarte drzwi, lepiej poświęcić czas i energię na inne zagadnienia. A tak się składa, że średniowiecze – szalenie długa, bo trwająca ponad 1000 lat epoka (w zależności od tego, jakie daty graniczne się przyjmie) – cieszy się niezаслужenie złą prasą i chyba jak

żadna inna obrośla głupimi mitami wynikającymi z... nieuctwa? Uprzedzeń? Tradycji? Sama nie wiem czego.

Wybór mitów jest w stu procentach subiektywny. Wybierałam te, które uznałam za ciekawe albo szczególnie mocno zakorzenione w naszym myśleniu. Często zresztą jedno nie wyklucza drugiego. Większość z nich dotyczy naszego polskiego podwórka, bo siłą rzeczy te budzą najwięcej emocji. Ale nie brakuje i mitów „ponadnarodowych”, które nie są mniej ciekawe od rodzimych.

Książkę tę pisałam z myślą o czytelnikach spoza historycznego podwórka. Mam jednak nadzieję, że i wytrawni historycy, archeolodzy i inne dzieci Klio, jeżeli po nią sięgną, znajdą w niej coś, co ich zainteresuje czy zaskoczy.

Kiedy chodziłam do liceum, katowano nas potworkiem zwanym sinusoidą Krzyżanowskiego. Jeżeli ktoś miał szczęście i uniknął tego koszmarku albo skutecznie wyparł jego istnienie z pamięci, to przypomnę, czym to jest. Otóż polonista Julian Krzyżanowski uznał, że epoki literackie przeplatają się ze sobą na kształt sinusoidy. Po epoce antropocentrycznej, racjonalnej, w której króluje szkiełko i oko, następować miała epoka teocentryczna, skupiona na emocjach i duchowości.

Sinusoida Krzyżanowskiego jest tak daleko idącym uproszczeniem, że aż boli. Już nawet pominię pewne absurdy – na przykład taki, że skoro dotyczyć ma literatury polskiej, to co tam robi antyk, a skoro ma dotyczyć literatury europejskiej, to co tam robi Młoda Polska. Ale problem tego uproszczenia najmocniej dotyka średniowiecza, epoki trwającej w Europie około 1000 lat, a w Polsce co najmniej 500 lat. Ciężko więc zamknąć tak długi okres w jednej szufladce. Europa doby renesansu karolińskiego w niczym nie przypominała Europy doby krucjat, nie mówiąc o okresie schyłkowym. Zmiany zachodziły na każdym polu – sztuki, architektury, nauki, duchowości, prawa.

W dodatku średniowiecze nie miało dobrej prasy wśród historyków XVIII czy XIX wieku. *Ciemne wieki*, *mroczne wieki* – to są określenia nacechowane pejoratywnie. Ba, nawet nazwa *średniowiecze* niesie ze sobą negatywny wydźwięk jako epoki pośredniej między klasycznym antykiem a renesansem (a więc tegoż antyku odrodzeniem). To w XIX wieku narodziło się najwięcej mitów o średniowieczu. Miała to być posepna, brudna epoka ciemnych ludzi. Skupiona na Bogu i modlitwie, pełna przemocy, gardząca życiem doczesnym wobec wszechobecności śmierci.

Odbiciem tej XIX-wiecznej opinii może być chociażby podstawa programowa dla uczniów szkół ponadpodstawowych. Literaturę średniowiecza zdominowały utwory religijne. W zasadzie tylko trzy omawiane utwory można nazwać świeckimi – fragmenty *Kroniki* Galla Anonima, *Dzieje Tristana i Izoldy* i *Pieśń o Rolandzie*. Cała reszta to utwory hagiograficzne, pieśni kościelne i opowiadki mające umoralniać czytającego. Taki brak różnorodności jest jednak zasmucający. Uczeń, opuszczając mury liceum czy technikum, nie będzie miał pojęcia, że w średniowieczu istniała też literatura humorystyczna (słynne opowiadki z gatunku *fabliaux*). Może coś tam liżnie na temat miłości dworskiej po omówieniu historii Tristana i Izoldy, ale o tym, że w średniowieczu popularna była także literatura o charakterze erotycznym, już się nie dowie. Jeżeli trafi na ambitnego polonistę, to może zapozna się pokrótce z życiem i twórczością François Villona – człowieka, którego los nie oszczędzał i którego poezję kształtował długotrwały pobyt w więzieniu. Utrwali sobie w głowie fałszywy obraz epoki jako podporządkowanej religii i Kościołowi.

Swoją cegiełkę do takiego postrzegania historii Polski – także w średniowieczu – dołożyła proza Henryka Sienkiewicza i świetne ekranizacje tejże. Zbyt często zapominamy, że są to

powieści przygodowe. Wydarzenia historyczne są tam tylko tłem, na którym rozgrywa się akcja. Co więcej, trzeba pamiętać, że Sienkiewicz pisał „ku pokrzepieniu serc”. W trudnych czasach zaborów przywoływał czasy potęgi Polski albo takie, w których Rzeczpospolita, choć targana wojnami, zawsze wychodziła z nich zwycięsko. A że Sienkiewicz bez dwóch zdań piórem posługiwał się w sposób mistrzowski, to do dzisiaj potrafimy na wrywki cytować jego powieści, a pewne zwroty na stałe zapisały się w polszczyźnie. To na podstawie jego opisów ukształtowała się popularna pamięć o pewnych wydarzeniach – bitwie pod Grunwaldem czy obronie Jasnej Góry. Pamiętamy, że Podbięta był mocarzem, bo potrafił władać mieczem krzyżackim, którego żaden inny szlachcic nawet unieść nie potrafił. Nie uwierzycie, ile razy na imprezach rekonstrukcyjnych słyszałam od turystów, że te nasze miecze to jakieś takie oszukane, bo przecież u Sienkiewicza czytali...

Zdaję sobie sprawę, że raz zakorzeniony mit jest szalenie trudny do wyplenienia. Mam jednak nadzieję, że uda mi się chociaż w zarysie pokazać Wam, jak barwna i jak złożona epoka to była.

**Skoro nie
Wielka Lechia,
to co?**



ażdy, kto miał chociażby przelotny kontakt z turbolechitami, pewnie słyszał, jak z pogardą mówią: „Historia akademicka twierdzi że Polacy w 966 roku z drzew dopiero zesзли, a przed chrztem to nic nie było!”.

Tymczasem o tym, co było tu przed Mieszkiem i skąd ten Mieszko w ogóle się wziął, napisano opasłe tomiścza, którymi dzisiaj katuje się studentów historii i archeologii. Przeważnie są niesamowicie nudne i naszpikowane sformułowaniami typu: „prawdopodobnie”, „być może”, „niewykluczone, że”. Dlaczego tak jest? Z prostej przyczyny – braku źródeł. Ziemie ówczesnej Polski były na peryferiach Europy wczesnośredniowiecznej. Słowianie własnego pisma nie wykształcili (nie, nie było żadnych run słowiańskich), a zachodni kronikarze rzadko kiedy interesowali się słowiańskimi władcykami i ich wojenkami. Dlatego w przypadku zarówno etnogenezy Słowian, jak i początków Polski, zdani jesteśmy na archeologię.

Najbardziej zażartym sporem w historii polskiej archeologii jest spór o etnogenezę Słowian właśnie. W dodatku ciągnie się on od pokoleń, bo jego początków można szukać już w 1745 roku, kiedy to nadreński antykwariusz Johann Christoph Jordan opublikował dzieło *De Originibus Slavicis*. Jak sam tytuł wskazuje, rozważał w nim koncepcje pochodzenia ludów słowiańskich. Z biegiem lat ukształtowały się dwa zasadnicze obozy. Jeden tworzą zwolennicy tezy autochtonicznej. Według nich Słowianie pojawili się nad Wisłą jeszcze w epoce brązu.

Kultury tutaj obecne – a przede wszystkim kultura łużycka (1300 – 400 r. p.n.e.) – były prasłowiańskie. Drugą koncepcją to hipoteza o allochtonicznym pochodzeniu Słowian. Według jej stronników żywioł słowiański ukształtował się gdzieś tam hen, na prypeckich bagnach, a potem, we wczesnym średniowieczu, zaczął swój *Drang nach Westen*. Tereny dzisiejszej Polski zasiedlili dopiero w V – VI stuleciu n.e.

Obie koncepcje mają swoich zwolenników i zagorzałych przeciwników. Nierzadko większe znaczenie od argumentów merytorycznych ma polityka. W czasie gdy u naszych zachodnich sąsiadów rosło znaczenie narodowego socjalizmu z jego germańską fikcją, u nas odpór temu dawała teza o odwiecznej obecności Słowian. Gdy niemiecki archeolog Gustaf Kossinna pisał o „braku kultury Słowian” i udowadniał wyższość i starożytność pochodzenie Germanów, to jego uczeń, Józef Kostrzewski przesadzał w drugą stronę, gdy widział Słowian pod każdym kamieniem. Biskupin to była osada prasłowiańska, a hipotezę allochtoniczną nazywał zaś „niemieckimi bredniami”.

Także w okresie Polski Ludowej lansowanie autochtonizmu było zgodne z linią partii. Z przyczyn oczywistych. Granice Polski po 1945 roku przesunęły się mocno na zachód, na ziemie dawniej zajmowane przez Niemcy. Władza musiała jakoś uzasadnić taki ruch. To nie mogły być Ziemie Zabrane czy Ziemie Zdobyte. To źle brzmiało w propagandzie. Musiały to być Ziemie Odzyskane. Odzyskane, więc takie, które kiedyś były nasze, ale zostały nam podstępnie odebrane przez germańskich najeźdźców. Nasze, więc mamy do nich prawo. I to prawo odwieczne, od czasów Mieszków, Bolesławów, a nawet ich owianych mrokiem historii dziadków.

Z czasem zwolennicy obu koncepcji etnogenezy okopali się na swoich pozycjach i stamtąd regularnie ostrzeliwali argumentami. A że te były znane od lat, to niekiedy zamiast dysertacji

i monografii w powietrzu latały pozwy o zniesławienie. Bo mimo upływu lat spór ten nadal budzi w badaczach emocje, o które nikt by nie podejrzewał flegmatycznych historyków albo oderwanych od rzeczywistości archeologów...

W tym miejscu wjeżdża cała na biało nowinka w badaniach historycznych – genetyka. No bo przecież mamusię oszukasz, tatusia oszukasz, ale DNA nie oszukasz. A genetycy udowodnili niezaprzeczalnie – geny słowiańskie są na tych ziemiach obecne od co najmniej 10 000 lat!

Podkreślę z całą stanowczością: genetyka to super nauka. Istna rewolucja nie tylko w biologii, lecz także na przykład w historii. Daje możliwości, o których poprzednie pokolenia historyków i archeologów mogły jedynie pomarzyć. Ale ma też swoje ograniczenia. W przypadku badań profesora Tomasza Grzybowskiego, które się najczęściej w tym kontekście przywołuje, głównym problemem jest to, że bycie Słowianinem, tak samo jak bycie Celtem, Germaninem czy Arabem, nie jest kwestią genetyki. To wyłącznie kwestia kultury. Gdybym zbadała swoje DNA i wyszłoby mi, że mam geny typowe na przykład dla ludności celtyckiej Walii, to nie zacznę przecież nagle mówić językiem, w którym jest zdecydowany nadmiar spółgłosek, ani zajadać się porem w postaci dowolnej. Bo zostałam wychowana w innej kulturze, innym językiem do mnie mówiono i karmiono żurkiem, a nie cawlem. Tak więc obecność Słowian na tych ziemiach potwierdza nie ten czy inny gen, ale to, jak budowali domy, jak wyrabiali naczynia, jak chowali swoich zmarłych, jakim językiem mówili (tutaj akurat archeologia za wiele nie pomoże).

Skąd więc te 10 000 lat? Tutaj trzeba opowiedzieć o tym, co się nad Wisłą działo około V stulecia n.e. Wśród ludów zamieszkujących te ziemie możemy wyróżnić dwie zasadnicze grupy, w żargonie archeologicznym nazywane kulturami.

Północny wschód dzisiejszej Polski zamieszkiwała ludność kultury wielbarskiej. Ziemię na południe od nich zajmowała ludność kultury przeworskiej. Obie te kultury były prawdopodobnie germańskie.

W pewnym momencie cała niemal Europa ruszyła. Zaczęło się coś, co nazywamy wielką wędrówką ludów. Mniejsza o przyczyny. Ważne jest to, że masy ludzi opuściły swoje dotychczasowe siedziby i szukały szczęścia gdzieś na zachodzie. To samo dotyczyło ludności kultur przeworskiej i wielbarskiej. Ale pamiętajcie, że o ile nie dochodzi do jakiejś katastrofy (powódź, zlodowacenie, wybuch wulkanu i tak dalej), która fizycznie uniemożliwia ludziom egzystencję na jakimś terenie, to nie ma możliwości, aby absolutnie wszyscy się wynieśli. Zawsze ktoś zostaje. Nawet w XX wieku systematycznie i programowo prowadzone akcje wysiedleń nie były w stu procentach skuteczne. W Warszawie po upadku powstania w 1944 roku mimo niemieckich wywózek w mieście zostało kilkuset tak zwanych robinsonów kryjących się w ruinach. W okolicach elektrowni atomowej w Czarnobylu część ludzi zdołała ukryć się przed przymusowymi wysiedleniami, a sporo wróciło krótko po katastrofie. Do dzisiaj w strefach zamkniętych żyją tak zwane samosióły. Tak więc nawet gdy większość ludności kultur wielbarskiej i przeworskiej opuściła te ziemie, to jakieś niedobitki zostały. I właśnie na tereny opuszczone przez ludność przeworską jeszcze w V wieku zaczynają wdzierać się zupełnie inni ludzie. Inaczej budują oni domy i chowają swoich zmarłych, nie znają koła garncarskiego. Archeolodzy nazwali tę kulturę kulturą praską. I jest to pierwsza kultura, którą bezspornie można wiązać ze Słowianami.

No dobrze, ale gdzie tu to DNA, o którym miałam pisać? Już spieszę z wyjaśnieniami. Na peryferiach kultury praskiej wykształciła się odrębna grupa. Niektórzy uważają, że to osobna kultura, a inni badacze skłaniają się ku tezie, że to po prostu

podgrupa kultury praskiej. Grupa ta, zamieszkująca Połabie i północno-zachodnią część współczesnej Polski, a przez badaczy zwana grupą Sukow-Dziedzice, jest o tyle interesująca, że łączy w sobie dwa światy. Część naczyń przez nich używanych ma cechy typowe dla ludności kultury przeworskiej, ale część to typowe wyroby praskie. Jest tam trochę domostw w typie słowiańskim, a trochę przeworskich. Słowem – doszło do unifikacji dwóch kultur. Słowianie żyli najpierw obok ludności przeworskiej, ale z czasem zaczęli tę kulturę wchłaniać. Dotyczy to nie tylko wyrobów kultury materialnej; zapewne dochodziło także do mieszanych, słowiańsko-przeworskich małżeństw. I tu wyjaśnia się zagadka 10 000 lat obecności genów „słowiańskich”, które wcale słowiańskie nie są. To pamiętka po ludziach, którzy byli tu wcześniej i którzy zostawili nam trochę pamiętek po sobie.

No dobrze, mamy tu już tych Słowian. Ale skąd się wzięła Polska? Czy faktycznie Polacy zeszli z drzew w 966 roku, jak widzą to niektórzy? Cóż, żeby ochrzcić kraj (czy faktycznie był to chrzest Polski, czy chrzest Mieszka, opowiem za chwilę), trzeba mieć dwie rzeczy. Chrzcielnicę i kraj...

Chrzcielnicę można zmajstrować na szybko, gorzej z krajem. To już jest wyższa szkoła jazdy.

Więc kiedy i jak powstało to, co później zostało nazwane Polską? Musimy cofnąć się do lat 920 – 930, bo mniej więcej wtedy na terenie Wielkopolski z przyległościami zaczęło dziać się COŚ. Ktoś zaczął brać miejscowe, rozdrobnione grupy plemienne, za przeproszeniem, za mordę. Bo widzicie, moi drodzy – tworzenie państwa to nie są kwiatki i machanie chorągiewkami. Państwa w średniowieczu powstawały na fundamencie zbudowanym z krwi i żelaza. To nie jest tak, że grupa mieszkańców jakiegoś terenu uznaje: „to teraz będziemy państwem, bo tak będzie nam lepiej”. To szło z drugiej strony. Musiał się znaleźć jakiś przebojowy typ, który miał na tyle charyzmy i siły przebiccia,

że był w stanie podporządkować sobie sąsiadów. A ponieważ administrowanie obszarem większym niż jeden gród i kilka wiosek wymaga sporych sił, to potrzebował do pomocy ludzi, którzy – w zamian za udział w zyskach – będą trzymali w ryzach poddanych, zbierali podatki, nadzorowali prace, na przykład przy wznoszeniu obwarowań grodowych, a także bronili księżęcej własności przed zakusami sąsiadów. Słowem – potrzebował administracji i zbrojnej drużyny.

Czy w przypadku Polski takim przebojowym księciem był przodek Mieszka I? Jego ojciec albo dziad? Tego nie wiemy. Ale wiemy, że około tego 920 roku życie w Wielkopolsce było dalekie od spokojnego. Wiele istniejących wcześniej grodów zostało spalonych. Część z nich odbudowano, część porzucono, a część przeniesiono w inne miejsce.

Gdy Mieszko zaczynał rządzić między 950 a 960 rokiem, władał już całkiem przyzwoitym kawałkiem ziemi. Oprócz Wielkopolski w skład jego dziedzictwa wchodziła też prawdopodobnie część Kujaw, ziemi lubuskiej, ziemi łęczyckiej, sieradzkiej i kawałek Mazowsza i Pomorza.

Odziedziczyć coś – żadna sztuka. Gorzej to utrzymać. Mieszko przekonał się o tym na własnej skórze. Niemal od początku panowania był skłócony z Wioletami – słowiańskim ludem zamieszkującym tereny między dolną Odrą a Łabą. Wioletów wspierał wówczas Wichman, saski graf, który wygnany przez cesarza (niestety – nie wiadomo za co) tułał się po świecie, szukając szczęścia. I znalazł je – przynajmniej na początku – właśnie u Wioletów. Między 963 a 965 rokiem dwukrotnie najeżdżali oni ziemie należące do Mieszka i dwukrotnie zwyciężali go w walce. W jednej z tych bitew stracił nawet życie nieznanymi imienia brat Mieszka.

W czasach, gdy argument siły liczył się bardziej niż siła argumentu, oznaczało to, że Mieszko mógł bardzo szybko

stracić swoją pozycję. Pewnie wielu było chętnych na zajęcie jego miejsca – zwłaszcza tych, którzy uważali, że lepiej by sobie dali radę w walce z Wioletami. Naszemu pierwszemu historycznemu księciu całkiem realnie groził zaszczyt bycia pierwszym obalonym księciem. A że z obalonymi władcami nikt się wtedy specjalnie nie cackał, to mógł też bardzo łatwo stać się pierwszym bezgłowym księciem Polski. Mieszko najwyraźniej nie miał aż takich ambicji – wystarczyło mu, że trafi na banknot dziesięciozłotowy, dlatego zaczął desperacko szukać sojuszników. I znalazł jednego w osobie Bolesława Srogiego, księcia czeskiego. Bolesław zaoferował Mieszkowi wsparcie militarne i dorzucił w bonusie swoją córkę, Dobrawę. Co obiecał mu Mieszko? Czy obietnica przyjęcia nowej wiary już wtedy leżała na stole? Tego też niestety nie wiemy. Natomiast bez wątpienia do sojuszu między Mieszkim a Bolesławem doszło i oprócz żony księżę dostał dwa hufce czeskiej jazdy. W 967 roku, prawdopodobnie 22 września, Mieszko po raz ostatni startł się z Wichmanem. Tym razem to on był górą. Wieleci zostali rozbici, a Wichman stracił życie.

I w tym miejscu dochodzimy do chrztu. Kiedy Mieszko przyjął chrzest? Czy był to chrzest Polski, jak zwykle się uważać, czy może chrzest wyłącznie Mieszka? Gdzie do niego doszło? A także – czy Mieszko w ogóle się ochrzcił, czy może zrobił to dopiero jego następca (albo poprzednik)? Tyle pytań, że można się pogubić.

Zacznijmy od podstaw – gdzie i kiedy? Pewnie każdy z Was zakrzyknie: „To oczywiste, że w 966 roku!”. A ja na to: a wcale takie nie oczywiste! Bo gdy zajrzemy do najstarszego źródła, w którym wzmiankowany jest chrzest, to zauważymy, że tam nie ma żadnej daty. Tym najstarszym źródłem jest *Kronika* napisana przez Thietmara, biskupa Merseburga. Sęk w tym, że Thietmar nie był świadkiem chrztu. Urodził się dopiero

w 975 roku, a swe dzieło życia zaczął spisywać około 1012 roku. O okolicznościach chrztu rozpiął się całkiem rozległe, ale mało konkretnie. Pisał dużo o Dobrawie i jej wpływie na męża:

Owa wyznawczyni Chrystusa, widząc swego małżonka pogrążonego w wielorakich błędach pogaństwa, zastanawiała się usilnie nad tym, w jaki sposób mogła by go pozyskać dla swojej wiary. Starła się go zjednać na wszelkie sposoby, nie dla zaspokojenia trzech żądź tego zepsutego świata, lecz dla korzyści wynikających z owej chwalebnej i przez wszystkich wiernych pożądanej nagrody w życiu przyszłym.

Umyślnie postępowała ona przez jakiś czas zdrożnie, aby później móc długo działać dobrze. Kiedy mianowicie po zawarciu wspomnianego małżeństwa nadszedł okres wielkiego postu i Dobrawa starała się złożyć Bogu dobrowolną ofiarę przez wstrzymywanie się od jedzenia mięsa i umartwianie swego ciała, jej małżonek namawiał ją słodkimi obietnicami do złamania postanowienia. Ona zaś zgodziła się na to w tym celu, by z kolei móc tym łatwiej zyskać u niego posłuch w innych sprawach. Jedni twierdzą, iż jadła ona mięso w okresie jednego wielkiego postu, inni zaś, że w trzech takich okresach. Dowiedziawszy się przed chwilą, czytelniku, o jej przewinie, zważ teraz, jaki owoc wydała jej zbożna intencja. Pracowała więc nad nawróceniem swego małżonka i wysłuchał jej miłościwy Stwórca. Jego nieskończona łaska sprawiła, iż ten, który Go tak srogo prześladował, pokajał się i pozbył na ustawiczne namowy swej ukochanej małżonki jadu przyrodzonego pogaństwa, chrztem świętym zmywając plamę grzechu pierworodnego¹.

¹ Thietmar z Merseburga, *Kronika Thietmara*, tłum. Marian Z. Jedlicki, Universitas, Kraków 2005, s. 82 – 83.

Biorąc pod uwagę, że Dobrawa poślubiła Mieszka w 965 roku, to okres od jednego do trzech Wielkich Postów dawałby nam chrzest w 965, 966 lub 967 roku. Trochę inaczej przedstawia tę historię „nasz” najstarszy kronikarz, czyli Gall Anonim. Według jego wersji Mieszko chciał Dobrawę za żonę, ale ona mu odmówiła, bo był poganinem. Dopiero gdy przyrzekł jej się ochrzcić, przybyła do Polski. Gall Anonim nie podaje niestety żadnych szczegółów dotyczących daty tego wydarzenia. Mimo wszystko spróbujmy z tych przekazów wycisnąć trochę więcej. I Gall Anonim, i Thietmar podkreślają rolę Dobrawy w nawróceniu Mieszka. Skoro są zgodni co do tego, to chyba tak naprawdę musiało być, prawda? No cóż, nie do końca. To znaczy, nie umniejszając w niczym Dobrawie, możliwe jest, że została wpisana w modny w średniowieczu motyw *mulier suadens* – kobiety nawracającej. Archetypem tego motywu jest św. Helena, matka Konstantyna I Wielkiego, pierwszego chrześcijańskiego cesarza. Średniowieczna tradycja to właśnie w postaci św. Heleny widziała przyczynę nawrócenia Konstantyna i zakończenia prześladowań chrześcijan w Rzymie. Już w okresie po rozpadzie imperium Helenę – ewangelizatorkę – stawiano za wzór żonom i córkom królów i władców.

Z czasem do grona *mulier suadens* dołączyły inne damy – św. Klotylda, żona króla Franków Chlodwiga I (najpierw miała wyjednać na mężu zgodę na ochrzcenie ich wspólnych dzieci, a po latach ciężkiej pracy i Chlodwig się nawrócił) oraz Ingund, żona wizygockiego króla Hermenegilda. Z czasów i miejsc bliższych Mieszkowi trzeba wymienić Ludmiłę Przemyślidkę, babkę św. Wacława. Zgodnie z tradycją to właśnie Ludmiła miała zaszcześcić młodemu Wacławowi wiarę chrześcijańską i przysłużyć się późniejszej chrystianizacji Czech.

Czy w takim razie Dobrawa faktycznie miała znaczący wpływ na Mieszka, czy po prostu kronikarze powielali znany

od lat motyw? Nie wiadomo. Tak samo jak nie wiadomo, czy Mieszko w ogóle się nawrócił – w sensie religijnym – czy chrzest miał wymiar jedynie polityczny. Ale fakt pozostaje faktem – do chrztu doszło. A czemu w naszej tradycji przyjął się właśnie ten 966 rok? Ciekawe, że pierwsze źródło podające datę roczną – *Rocznik świętokrzyski dawny* – podaje jako datę chrztu 967 rok. Dopiero z *Rocznika kapituły krakowskiej* z połowy XII wieku dowiadujemy się, że Mieszko ochrzcił się w 966 roku. Czemu więc badacze odrzucili źródło wcześniejsze i dali wiarę późniejszemu? W XIX wieku profesor Władysław Abraham, słynny badacz dziejów średniowiecznego Kościoła, przenaizował zapiski i uznał, że w najstarszym roczniku wiele dat jest przesuniętych o rok, w tym data przybycia Dobrawy i chrztu Polski. I mimo iż nie mamy stuprocentowej pewności, to analizy profesora Abrahama wciąż uznaje się za słuszne. A co z datą dzienną? Wszak w 2019 roku Sejm ustanowił dzień 14 kwietnia Świętem Chrztu Polski na pamiątkę tego wydarzenia. Bo akurat w 966 roku Wielkanoc przypadała 14 kwietnia, a często chrzty ważnych osobistości odbywały się „przy okazji” ważnych świąt kościelnych. Więc tak, jest możliwe, że Mieszko ochrzcił się w Wielkanoc. Ale mogło to być Boże Narodzenie, Święto Ofiarowania, Zielone Świątki czy Epifania. W tym przypadku to zgadywanka, a nie badania historyczne.

Dobrze, kwestię daty mamy mniej więcej ogarniętą. Teraz przejdźmy do miejsca. Ale tutaj zaskoczenia nie ma – brak danych. Żadne źródło nie zawiera wskazówek. To paradoksalnie daje duże pole do popisu dla badaczy, którzy mogą swobodnie snuć różne, nawet najbardziej fantazyjne teorie. Akwizgran? Proszę bardzo. Praga? Czemu nie. Kwedlinburg? Wiemy, że cesarz Otton przebywał tam w 966 roku, więc może Mieszko skoczył go odwiedzić i przy okazji się ochrzcił. Jednak najbardziej prawdopodobna jest hipoteza, że Mieszko, władca księ-

stwa zmagającego się z licznymi problemami, nie mógł sobie pozwolić na długą i niebezpieczną podróż i raczej ochrzcił się w którymś ze swoich grodów. Może więc Gniezno – w końcu stolica! No cóż, tak nie do końca. Bo Gniezno w czasach Mieszka bez wątpienia było bardzo ważnym ośrodkiem, ale w x wieku trudno w ogóle mówić o czymś takim jak stolica. W odniesieniu do czasów wczesnopiastowskich używa się określenia *rex ambulans* – król (czy książę w przypadku Mieszka) wędrujący. To znaczy władca stale podróżował po swojej dziedzinie² i nadzorował sprawy administracyjne, wydając wyroki i przypominając swoją obecnością, kto tu rządzi. Stolica i dwór była tam, gdzie akurat władcę zagnało. Więc tak – Mieszko mógł się ochrzcić w Gnieźnie. Ale mógł to być też Poznań, Kalisz, Giecz albo jakikolwiek inny istotny gród.

² Dziedzina – tu: obszar ziemi będący w czyimś władaniu. Zygmunt Gloger w *Encyklopedii staropolskiej* podaje, że wyraz ten spotykamy już w jednym z najstarszych dokumentów polskich (z 1125 r.). Stąd dziś mamy dziedzica, dziedzictwo, dziedziczenie itp.

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

Wcale nie takie mroczne wieki.

Me prawdy jest w mitach

na temat średniowiecza?

„Wieki ciemne” albo „mroczne wieki” – tak o średniowieczu pisali historycy XVIII i XIX stulecia. To wtedy zrodził się wciąż żywy w powszechnej świadomości obraz epoki, która miała być brudna i posępna. Skupiona na Bogu i modlitwie. Pełna przemocy, śmierci, głodu, chorób, wojen i czasem bardzo wymyślnych tortur.

Fakt, średniowiecze nie ma najlepszej prasy...

Anna Zielińska, twórczyni facebookowego profilu **Historyczne bzdury**, zdecydowała się rzucić nieco światła na mroki średniowiecza. Za pośrednictwem tej książki rozprawia się z popularnymi mitami na temat tej epoki, między innymi z legendą Wielkiej Lechii, pogłoskami o braku skuteczności ówczesnej medycyny i o niedostatkach higieny w średniowiecznej egzystencji. Zabiera Czytelnika na pole bitwy pod Grunwaldem. Opowiada także o dawnych bohaterach, o których wciąż krążą legendy, choć... Cóż, ci bohaterowie nie istnieli.



wydawnictwosploty.pl

ebook dostępny na:

ebookpoint

ISBN 978-83-283-7799-8



9 788328 377998

PL 06 65 20000